

Alberto Marvelli, chrześcijanin, którego lubili nawet komuniści

Alberto Marvelli (1918-1946), młody człowiek formowany w salezjańskim oratorium w Rimini, przeżył swoje krótkie życie w codziennym zaangażowaniu w służbę innym, z całą intensywnością, na jaką pozwalały mu jego siły. Jego normalne, ale intensywnie chrześcijańskie życie doprowadziło go do świętości, a w 2004 r. został beatyfikowany przez papieża św. Jana Pawła II.

Alberto Marvelli, „inżynier miłosierdzia”, nosi w sobie urok niezwykle normalnej świętości. Alberto miał ojca bankiera i bardzo chrześcijańską rodzinę. Urodził się w Ferrarze w 1918 roku, ale w wieku 13 lat wraz z rodziną osiedlił się na stałe w Rimini, podążając za ojcem w jego podróżach służbowych. Był chłopcem o mocnym zdrowiu i porywczym temperamencie, ale był zarazem tak poważny, że czasami sprawiał wrażenie dorosłego mężczyzny. Przechodzi przez gimnazjum dzieląc czas na naukę i ważne zawody sportowe. W wieku 15 lat zapisał się do liceum klasycznego. Ale w tych samych miesiącach rodzina zostaje ciężko dotknięta śmiercią ojca. Był wtedy aspirantem i animatorem oratorium w parafii Maryi Wspomożycielki. Uczył katechizmu, animował spotkania, organizował Msze dla młodzieży. Mając zaledwie 18 lat został prezesem Akcji Katolickiej.

Rozpoczynając naukę w liceum, Alberto rozpoczął swój Dziennik i napisał: „Bóg jest wielki, nieskończenie wielki, nieskończenie dobry”. Opisywał w nim swój rozwój jako człowieka i chrześcijanina przez całe życie. Czytamy w nim ścisły i mocny „mały schemat”, który sobie nadał. Proponował w szczególności: modlitwę i medytację rano i wieczorem, spotkanie z Jezusem-Eucharystią, jeśli to możliwe, także każdego dnia, walkę z największymi wadami: lenistwem,

obżarstwem, niecierpliwością, ciekawością... To program, który Alberto będzie realizował przez całe swoje życie.

Dojeżdżający student

Wśród 60 kandydatów do matury Alberto zajął drugie miejsce. 1 grudnia 1936 roku (w wieku 18 lat) rozpoczął pierwszy rok inżynierii na Uniwersytecie Bolońskim. Tak zaczęło się życie studenta dojeżdżającego z Rimini do Bolonii. Studia i apostołstwo w obu miastach. Gospoia ciotki, która gościła go w Bolonii, zeznała w prostych słowach: „Widziałam go dzień i noc ciężko pracującego dla uniwersytetu i apostołatu. Czasami zastawałam go śpiącego nad książkami i z różańcem w ręku. Rano widziałem go w kościele o 6 rano na Mszy św. i Komunii św. Jeśli zobowiązania nie pozwalały mu przyjąć Komunii wcześniej, pościł do południa. Nakładał na swój apetyt ogromną pokutę”. Podczas gdy Alberto kończył studia, nad Europą wybuchł cyklon II wojny światowej. Włochy również zostały w nią wciągnięte. Alberto – absolwent inżynierii, od sierpnia do listopada 1940 r. przebywał w Mediolanie, zatrudniony w odlewni Bagnagatti, podczas pierwszych bombardowań. Przemysłowiec zeznał: „Spędził ze mną kilka miesięcy. Natychmiast zapoznał się ze wszystkimi pracownikami, a zwłaszcza z najmłodszymi i najprostszymi. Interesował się potrzebami rodzinnymi pracowników i wskazał mi szczególne potrzeby każdego z nich, prosząc o pomoc, którą uznał za stosowną. Odwiedzał chorych, zachęcał praktykantów do uczęszczania do szkół wieczorowych. Zaszczepił we wszystkich spontaniczne i żywe poczucie współczucia i serdeczności”. 30 czerwca 1941 r., gdy Włochy rozpoczynały drugi rok wojny, Alberto ukończył inżynierię przemysłową z najwyższymi ocenami. Wkrótce potem i on miał założyć szaro-zielony mundur i wyruszyć, by zostać żołnierzem.

Służba wojskowa i wojna

W styczniu 1943 r. Rosjanie rozpoczęli ofensywę na całym froncie zachodnim. Armia (włoska armia w Rosji), okupująca front nad Donem, została zmuszona do legendarnego odwrotu przez niekończące się zamarznięte pola, podczas gdy Rosjanie

byli w stanie zabić i sam mróz. Tam właśnie przybył Raffaello Marvelli i zginął w walce. Dla mamy Marii była to bardzo ciężka godzina. Alberto napisał w swoim dzienniku mocne, krwawiące słowa: „Wojna jest karą za naszą niegodziwość, karą za naszą małą miłość do Boga i ludzi. Na świecie brakuje ducha miłosierdzia, więc nienawidzimy się nawzajem jako wrogowie, zamiast kochać się jak bracia”.

Jest przeznaczony do koszar w Treviso. I to właśnie tutaj miał miejsce „cud” Marvellego. Ks. Zanotto, proboszcz parafii Santa Maria di Piave, napisał: „Kiedy inżynier Marvelli przybył do Treviso, w koszarach dwóch tysięcy żołnierzy, wszyscy bluźnili i panowało podziemie. Po pewnym czasie nikt już nie bluźnił, to znaczy nikt, nawet przełożeni. Pułkownik jako bluźnierca, oddał się tłumieniu bluźnierstwa wśród żołnierzy”. We wrześniu Włochy wycofały się z wojny. Armia się rozpada. Alberto wraca do domu. Ale wojna się nie skończyła. Niemieccy żołnierze okupują Włochy, a alianci intensyfikują bombardowania naszych miast.

Wśród uchodźców w San Marino

1 listopada Rimini zostało dotknięte pierwszym bombardowaniem z powietrza. Ucierpiało trzysta osób, a miasto zostało zredukowane do dywanu gruzu. Ludzie musieli uciekać daleko, do wolnej Republiki San Marino. W ciągu kilku tygodni liczba mieszkańców tej wolnej ziemi wzrosła z 14 do 120 tysięcy.

Alberto przybył na miejsce na ośle. Na bryczce siedziała jego matka. Giorgio i Gertrude pchali rowery załadowane jedzeniem, aby przeżyć. Zostali przyjęci do jednego z akademików uczelni Belluzzi. Inne rodziny były w magazynach Republiki, wiele innych gromadziło się w tunelach kolejowych.

W takich chwilach bardzo łatwo jest zamknąć się w sobie, myśleć o przetrwaniu najbliższych i to wszystko. Zamiast tego Alberto jest w centrum opieki, dostępnej dla każdego. Jeden ze świadków pisze: „Wieczorem głośno odmawiał różaniec w akademikach kolegium Belluzzi, potem kładł się spać; a rano, w kościele pełnym ewakuowanych osób, służył do Mszy i przyjmował Komunię. Potem znów wyruszał na wszystkie ulice i do

wszystkich potrzebujących. Zwracał uwagę na potrzeby, a kiedy nie mógł przybyć, powierzał pracę innym. Wchodził do tuneli, z których ludzie nie mieli odwagi wyjść". Domenico Mondrone dodaje: „Każdego dnia pokonywał kilometry na rowerze, zbierając jedzenie. Czasami wracał do domu z plecakiem podziurawionym odłamkami wybuchającymi ze wszystkich stron. Ale on, z przyjaciółmi, którzy naśladowali jego odwagę, nie zatrzymał się”.

Chcieli, żeby został burmistrzem

21 listopada 1944 r. Alianci wkraczają do Rimini. Dokoła płoną wioski i lasy, tworzą się korki wozów, ciężarówek, samochodów. Śmierć i spustoszenie. Alberto wraca tam z rodziną. Zastaje swój dom (zniszczony, ale wciąż nadający się do zamieszkania) zajęty przez brytyjskich oficerów. Rodzina Marvellich zatrzymała się w piwnicy najlepiej jak potrafiła. Tej strasznej zimy (ostatniej wojny) Alberto stał się sługą wszystkich. Komitet Wyzwolenia powierzył mu biuro mieszkaniowe, gmina powierzyła mu inżynierię lądową w celu odbudowy, biskup przekazał go „katolickim absolwentom” diecezji. Ubodzy stale oblegali dwa małe pokoje w jego biurze, podążali za nim do domu, kiedy szedł coś przekąsić z matką. Alberto nigdy nie odmówił nikomu. Mówił: „Biedni przechodzą od razu, inni mają uprzejmość poczekać”. Po zawarciu pokoju nędza ludzi trwała nadal. Podczas wojny wielu straciło wszystko.

Rok 1946 jest pochłaniany dzień po dniu przez niekończące się potrzeby, wszystkie pilne. Alberto chodził na Mszę, a potem był pod ręką. Pod koniec roku odbyły się pierwsze wybory lokalne. To czas gorących bitew między komunistami i chrześcijańskimi demokratami. Komunista, który codziennie widział w Marvelli nie chrześcijańskiego demokratę, ale chrześcijanina, powiedział: „Nawet jeśli moja partia przegra... dopóki inżynier Marvelli jest burmistrzem”. Nie chciał nim zostać. Wieczorem 5 października szybko zjadł obiad obok swojej matki, a następnie wyjechał na rowerze, aby zorganizować wiec w San Giuliano a Mare. 200 metrów od domu uderzyła w niego pędząca z zawrotną prędkością aliancka

ciężarówka, wyrzuciła go do ogrodu willi, a on zniknął w nocy. Został zabrany przez trolejbus. Dwie godziny później umiera. Miał 28 lat. Kiedy jego trumna przejeżdża ulicami, biedni płaczą i przesyłają pocałunki. Plakat ogłasza wielkimi literami: „Komuniści z Bellarivy kłaniają się ze czcią, aby powitać swojego syna, swojego brata, który rozdał tak wiele dobra na tej ziemi”.

ks. Mario PERTILE, sdb